

RODZINA DZIŚ – SZANSA CZY UWIKŁANIE?

1. „Familia, quid dicis de te ipsa?”

Podczas światowego spotkania rodzin na placu św. Piotra w dniu 8 października 1994 r. Jan Paweł II ponad 200 tysiącom osób reprezentującym 130 krajów postawił znamienne pytanie: „Rodzino, rodzino chrześcijańska: czym jesteś?” Powtarzał tę kwestię z naciskiem, w rozmaitych wersjach tak, jak gdyby był w niej ukryty klucz do rozwiązania współczesnych problemów rodzinnych, jakby odpowiedź na to pytanie warunkowała prawidłowe wejście rodzin z całego świata w Trzecie Tysiąclecie chrześcijaństwa.

Świadectwa składane przez przedstawicieli rodzin umożliwiły Namiestnikowi Chrystusowemu dokonanie podsumowania: „Co mówisz o sobie rodzino? Jestem *gaudium et spes* – radością i nadzieją!” Istotnie, tak dostrzegą tam, w cieniu bazyliki Piotrowej, na placu rozjarzonym płomykami tysięcy świec. Dlatego mógł Papież powiedzieć, że „każda rodzina niesie światło i każda rodzina jest światłem! Jest światłem, latarnią, która powinna rozjaśnić drogę Kościoła i świata w przyszłości, przy końcu obecnego tysiąclecia, i dalej, dopóki Bóg pozwoli istnieć temu światu”.

Pogasyły pochodnie, światowe spotkanie rodzin z papieżem Janem Pawłem II dobiegło końca, przeminął Międzynarodowy Rok Rodziny. Pozostało drżące pytanie: Czym dla nas, tu i teraz – u schyłku XX wieku w Polsce – jest rodzina? Zwyczajnym ludzkim losem; utrudzonym szczęściem; bezpiecznym schronieniem przed drażniącymi sprawami publicznymi; zadaniem podejmowanym z zaciśniętymi zębami w poczuciu, że nam już brakuje sił? A może kulą u nogi; klątką, w której się szamocemy, boleśnie tłukąc o jej pręty; pułapką, z której bez szwanku wyrwać się niepodobna? Spełnieniem pokładanych nadziei, rozczarowaniem czy zawodem?

Rodzino, polska rodzino, czym ty rzeczywiście jesteś?

Wiele się na to pytanie ciśnie odpowiedzi, lecz żadna nie wyczerpuje problemu. Chciałoby się przytoczyć wszystkie, te również, które się pozornie wykluczają. Zasady niesprzeczności nie da się tu łatwo zastosować, bo na swój sposób każda odpowiedź jest jakoś prawdziwa. Czarno-białe i proste są tylko teorie. Życie codzienne rodziny jest od nich bogatsze. Nie bardzo daje się wyrazić jednoznacznymi ujęciami. Rodzina – jak i ludzie, którzy ją tworzą – stanowi misterium. Po prostu jest tajemnicą. Kto mniema, że ją zgłębił, myli się na pewno. Do sanktuarium rodziny nie wchodzi się z „mędrca szkiełkiem i okiem”. Można do niego dotrzeć chyba jedynie sercem. Pewnie dlatego w adhortacji *Familiaris consortio* (FC) Jan Paweł II wzywa synów i córki Kościoła, by kochali rodzinę w sposób szczególny. I dodaje: „Polecenie to jest konkretne i wymagające”¹.

¹ FC 86.

Ojciec Święty konkretyzuje ten obligatoryjny postulat. Pisze: „Kochać rodzinę, to znaczy umieć ocenić jej wartości i możliwości i zawsze ją popierać. Kochać rodzinę, to znaczy poznać niebezpieczeństwo i zło, które jej zagraża, aby móc je pokonać. Kochać rodzinę, to znaczy przyczyniać się do tworzenia środowiska sprzyjającego jej rozwojowi. Zaś szczególną formą miłości wobec dzisiejszej rodziny chrześcijańskiej, kuszanej często zniechęceniem, dręczonej rosnącymi trudnościami, jest przywrócenie jej zaufania do siebie samej, do własnego bogactwa natury i łaski, do posłannictwa powierzonego jej przez Boga”².

2. Między ideałem a rzeczywistością

We wspomnianej adhortacji Jan Paweł II zaczyna swój wykład od tezy, że małżeństwo i rodzina stanowią jedno z najcenniejszych dóbr ludzkości³. Kończy natomiast swoje przesłanie proroczym oznajmieniem: „Przyszłość ludzkości idzie poprzez rodzinę!”⁴. Wizja Papieża wyraża nie tylko stan świadomości Kościoła, któremu Duch Święty ukazuje rodzinę jako bramę do przygotowanego przez Opatrzność Wielkiego Jubileuszu Roku 2000⁵. W tej wizji zbiegają się ponadto przecucia, nadzieje i tęsknoty miliardów młodych z całego świata, którzy odważnie decydują się kroczyć drogą życia rodzinnego, choć wymaga ono poświęceń i ofiar.

Badania socjologiczne i psychologiczne ciągle dostarczają dowodów, że udane życie rodzinne jest powszechnie uważane za jedną z najbardziej cenionych i upragnionych wartości. Często buduje się wokół niej cały plan życiowy wchodzący w dojrzałość ludzi. Sukces małżeński i rodzinny jest ogromnie atrakcyjny, także u nas, w Polsce, teraz.

Nie wolno jednak przeoczyć sygnałów mniej optymistycznych, a jest ich coraz to więcej. Od szeregu lat obniża się liczba i częstość zawieranych małżeństw. W roku 1992 w Polsce – po uwzględnieniu sald migracji zagranicznych – nadwyżka związków nowo zawartych nad rozwiązanymi wynosiła zaledwie 321 par. Pojawił się jakiś lęk przed „zapadnięciem kłamki”, przed podjęciem decyzji rzutującej na dalsze życie. Część młodych boi się rodziny jak potrzasku.

Czy to sprzeczność? Może raczej sytuacja opisana w *Weselu*: „Tak by się nam serce śmiało do ogromnych, wielkich rzeczy, a tu pospolitość skrzeczy, a tu pospolitość tłoczy, włazi w usta, uszy, oczy”. Prawda o dzisiejszej polskiej rodzinie bywa nieraz skrzeczająca.

Mamy wysoką stopę rozwodów, która obniżyła się wprawdzie od roku 1988, ale wcale nie na skutek poprawy spójności wewnętrznej rodzin. Rzutują na to zjawisko głównie warunki bytowe, które sprawiają, że statystyka wyznacza tylko dolną granicę znacznie rozleglejszego obszaru rodzinnych niepowodzeń. Rozmiaru „szarej strefy” czyli małżeństw faktycznie rozbitych, choć nie rozwiedzionych, nie da się wiarygodnie określić. Gdyby wolno było o tym obszarze wnioskować na podstawie załamania się fundamentalnych funkcji małżeństwa, roztoczyłby się przed nami obraz przeraźliwy.

Co się narzuca z całą mocą? Przede wszystkim znaczny, wciąż postępujący spadek liczby urodzeń. Zmiana struktury wiekowej kobiet rzutuje na ten fenomen tylko w 20%. W 80% jest on wynikiem załamania się płodności kobiet. Na coraz niższy poziom spadają wszystkie współczynniki reprodukcji. Nie ma już u nas zastępowalności pokoleń. Od 1989 r. kraj został zepchnięty w obszar reprodukcji zwężonej i naród przestał się od-

² Tamże.

³ FC 1.

⁴ FC 86.

⁵ Por. *Tertio millennio adveniente* 28.

tworząc. W ciągu jednego pokolenia niechybnie zacznie wymierać. W wiek XXI wejdziemy jako społeczeństwo stare i zanikające.

Nie chodzi jednak w tej chwili o katastrofę ludnościową, choć jest to groźba realna i nad wyraz poważna. Chodzi o gruntowne spaczenie małżeńskiej wspólnoty. Jak bardzo bowiem musi być wynaturzona więź pomiędzy mężem i żoną, jeżeli dobrowolnie rezygnują z rodzicielstwa; gdy ich jedność zostaje odarta z tego, co ją wyraża i potwierdza – z tęsknoty za owocowaniem.

Nie wszystkie małżeństwa – bez żadnej z ich strony winy – mogą posiadać dzieci. Niosą wówczas swój krzyż. On boli, lecz nie niszczy. Bywa, że wyzwala rodzicielstwo duchowe. Ale jeżeli małżonkowie sami, z własnego i wspólnego wyboru, trwale odrzucają dar przekazywania życia, cóż warta jest ich miłość? Czy godzi się ją jeszcze miłością nazywać?

Samorzutnie decyzja małżeńskiej jałowości jest zawsze dramatyczna, bo obiektywnie rujnuje wspólnotę. Zdajemy sobie w pełni sprawę z zewnętrznych uwarunkowań tak tragicznych rozstrzygnięć. Wiemy, ile tu waży: bezrobocie, brak perspektywy i stabilizacji, niedostatek, niemożność posiadania własnego gniazda. A jednak – najprawdziwsza, przesądająca przyczyna radykalnego odrzucenia rodzicielskiej służby tkwi nie w nich, lecz w ludzkich sercach – za ciasnych nieraz dla dzieci. „Nie było dla nich miejsca w gospodzie” (Łk 2, 7). Coraz częściej go nie ma. „Przyrost zerowy”, „bezpieczeństwo demograficzne” – to przecież dziś ideologia i program. Niestety, także w Polsce.

Kryzysu rodzicielstwa nie da się przedstawić w postaci ujęć demograficznych. Rodzicielstwo nie sprowadza się bowiem do faktów, które rejestruje statystyka ludnościowa. Rodzicielstwo jest nieustannie ponawianą, bezwarunkową i wierną akceptacją dzieci przez rodziców. Tak pojmowane rodzenie nigdy się nie kończy. Zmieniają się wyłącznie jego formy. Przerywa natomiast ów permanentny proces odrzucenie dziecka przez rodziców. Nie zawsze krańcowe, przybierające postać społecznego sieroctwa. Częściej dyskretne, wyrażane agresją, atmosferą domowego „piekiełka”, przenoszeniem rodzicielskich frustracji na dzieci. One wtedy, własne dzieci, drażnią, ciążyą, denerwują. Rodzice potrafią się na nich wyżywać, wcale nie robiąc sobie z tego żadnych wyrzutów. Przecież są tacy zabiegani, przemęczeni, z tysiącem spraw na głowie; przecież „nie mają czasu”! Muszą się jakoś „rozładować”, więc bywa, że w naszych, bardzo zanych na pozór rodzinach czai się oschłość, brutalność, terror oraz przemoc.

Jan Paweł II w „Liście do rodzin” dobitnie przypomina, że czwarte przykazanie ma charakter zwrotny. Wprawdzie literalnie określa relacje dzieci do rodziców, lecz pośrednio mówi „o czci należnej dzieciom od rodziców”. I tłumaczy dalej: „Chodzi ostatecznie o cześć, która jest wzajemna. Przykazanie «czcij ojca i matkę» pośrednio mówi rodzicom: Czcijcie wasze dzieci, synów i córki tak, jak one na to zasługują”. Nie z racji swojego zachowania czy postępowania, lecz z tytułu ich osobowej godności: „Zasługują dlatego, że są oraz dlatego, że są tym, kim są – i to od pierwszej chwili poczęcia”⁶. Zmęczenie, rozdrażnienie, nastrój od tego obowiązku nie zwalniają. Trzeba o nim mówić pełnym głosem, bo mało kto się dziś do owej powinności poczuwa i szybko sam dla siebie znajduje usprawiedliwienie swoich zaniechań.

W wędrówce od ideału do pospolicności nie można wreszcie pominąć dezercji. Nie tej jedynie, której kres wyznacza „sina dał”, choć co siódma z polskich rodzin w takiej się znajduje sytuacji. Bardzo skutecznie można się przed rodziną schować w pracy zawodowej, w działalności społecznej, w aktywności politycznej, a zdarza się, że i w „zaangażowaniu apostołskim” także – zachowując przy tym „twarz” i zdobywając poklask. Tu ko-

⁶ LR 15.

nieczne jest ustalenie priorytetów. Dla ludzi, którzy podjęli powołanie rodzinne – najważniejszym polem ich służby musi być własna rodzina. Nie można powtarzać za Papieżem, że „rodzina jest drogą pierwszą i z wielu względów najważniejszą Kościoła”⁷, zaprzeczając temu w praktyce.

3. Rodzinne szczęście w zasięgu ręki, ale nie za darmo

Nie ucieka się przed szczęściem. Uciekają ci, którzy nie umieją go znaleźć we własnej rodzinie. Dlaczego powszechna tęsknota za rodzinnym szczęściem nieczęsto się spełnia? Odpowiedzi na to pytanie nie znajdzie się w analizie zewnętrznych warunków życia współczesnej rodziny. One ani szczęściem nie darzą, ani nie są zdolne go zabrać. Mogą tylko utrudniać lub ułatwiać jego odkrycie i przeżywanie. Rodzinne szczęście mieści się w ludzkich sercach.

Paweł VI w ogłoszonej przed ćwierćwiekiem encyklice *Humanae vitae* uczył, że małżeństwo „nie jest wynikiem jakiegoś przypadku lub owocem ewolucji ślepych sił przyrody: Bóg-Stwórca ustanowił je mądrze i opatrnościowo w tym celu, aby urzeczywistnić w ludziach swój plan miłości”⁸.

Instytucja małżeństwa i rodziny została przez Stwórcę obmyślona dla człowieka, żeby mu było dobrze, żeby rozwijał się i wzrastał, żeby kochał i owocował miłością, żeby dojrzywał do wiecznych przeznaczeń i był szczęśliwy. A jednak w naszych rodzinnych doświadczeniach – jak w koncercie Jankiela – pojawiają się nieraz „fałszywe akordy”. Powtarza się sytuacja z *Pana Tadeusza*: „Zasmuceni, strwożeni słuchacze zwątpili. Czy instrument niestrojny? Czy się muzyk myli?”

„Nie zmylił się Mistrz taki...”. Sam nam objawił, że wszystko, co był uczynił, jest bardzo dobre. On daje gwarancję szczęścia, ale w małżeństwie takim, jakie ustanowił, to znaczy: bez ludzkich innowacji i poprawek. Dlatego w poszukiwaniu szczęścia ustawicznie musimy wracać do prawdy „początku”.

Rodzinne szczęście jest w zasięgu ręki, jednak nie za darmo. Wspólnota małżeńska, w której mąż nie czyni z siebie żonie, a ona mężowi, bezinteresownego daru; gdzie jedno nie żyje dla drugiego, a obydwójce dla swych dzieci – nie uszczęśliwia. Zamienia się w pułapkę i coraz bardziej wikła.

Rodzina nie jest bowiem wspólnotą egoizmów, ale darów. Największych, bo składanych wzajemnie z samych siebie. W rodzinie nie ma innego szczęścia jak tylko z odbicia. Na własną rękę, pojedynczo, niepodobna być w rodzinie szczęśliwym. To jest tak, że mąż doznaje szczęścia swojej żony, ona – swego męża, a nic bardziej nie rozradowuje rodziców od uśmiechu ich dzieci. Satysfakcja z życia rodzinnego jest dostępna każdemu, niemniej wyłącznie na zasadzie wzajemnego obdarowywania się i przyjmowania na nowo. Im więcej bezinteresownie człowiek z siebie daje, tym więcej otrzymuje. Rozmiary rodzinnego szczęścia określa wielkość daru. „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15, 13). Małżeństwo i wyrosła z niego rodzina to nieustanne oddawanie życia za kochanych, żmudne i trudne, bo powszednie i na pozór pozbawione wielkości.

Czy to jest w ogóle realne? Gdyby nie było, Bóg nie nakazałby nam słowami Apostoła Pawła: „Mężowie miłujcie żony, bo i Chrystus umiłował Kościół i wydał za niego samego siebie” (Ef 5, 25), a Piotr naszych czasów nie oznajmiłby w adhortacji *Familiaris*

⁷ Tamże, 2.

⁸ HV 8.

consortio, że „małżonkowie uczestniczą i są powołani do przeżywania samej miłości Chrystusa, ofiarującego się na Krzyżu” i że „są zatem stałym przypomnieniem dla Kościoła tego, co dokonało się na Krzyżu”⁹. Sakramentalną mocą są w stanie sami czerpać z owej zbawczej miłości, sycić się nią i ją uobecniać pośród wszystkich zasadzek świata. W *Liście do Rodzin* Urząd Nauczycielski oznajmia: „Małżeństwa i rodziny całego świata: jest z Wami Oblubieniec! To nade wszystko pragnie Wam powiedzieć Papież roku, który Narody Zjednoczone i Kościół poświęcają rodzinie”¹⁰.

Nikt, kto mocno stąpa po ziemi, z pewnością nie powie, że rodzinne szczęście jest łatwe. Nieustanne rozdawanie się kosztuje, zwłaszcza gdy obdarowywany przyjmuje postawę roszczeniową i reaguje niewdzięcznością. Ale przecież – to nieraz irytujące, dokuczliwe, czasem wręcz podłe – nie przestaje być moim drugim „Ja”.

Dany mi przez Boga człowiek najdosłowniej jest moją twórczością. Przez wierną miłość „aż do końca” mam wydobyć jego autentyczne piękno – jak rzeźbiarz wydobywa posąg drzemiący w kamiennym bloku. Udręka i ekstaza są tu ze sobą nierozłącznie splecione, choć zwykle więcej doświadczamy mozołu, zwątpienia niż uniesień. A jednak to właśnie powierzeni mi przez Boga ludzie są moją najważniejszą legitymacją przed Sędzią żywych i umarłych. Uprzedził, że rozliczy się z nami ze swoich darów. A więc zapyta: co uczyniłeś z żony, co uczyniłeś z męża, co uczyniliście z dzieci, które wam dałem? Czy ci ludzie – przez ciebie – powiększyli swój format, stali się lepsi, bardziej otwarceni na Boga i świat? Czy sami pomnażają miłość? Czy świecą?

4. Nie jesteśmy zdani na własne siły

Nakreślony model rodziny jest nadludzki, ale chrześcijańska rodzina nie jest wyłącznie wspólnotą mężczyzny, kobiety i ich dzieci. Oni wszyscy do niej należą, lecz spaja ją Bóg, podtrzymuje Chrystus, uświęca Jego Duch. „Tylko dzięki tej mocy zrodzonej w jedności Przenajświętszej Trójcy mogą stanowić jedność” – powiedział Jan Paweł II w homilii wygłoszonej podczas Eucharystii sprawowanej na placu św. Piotra 9 października 1994 r.

Ludzka miłość niebezpiecznie migoce, słabnie, czasem ledwie się tli albo nawet zupełnie wygasa. Boża miłość jest nieskończona i niezmienna. Otrzymujemy ją do dyspozycji w sakramencie małżeństwa po to, żebyśmy nią ogarniali i Boga, i siebie nawzajem. I żebyśmy nią rozniecali naszą przygasłą miłość. Toteż Paweł VI uczył, że „gdyby źródło ludzkie groziło wyschnięciem, to źródło Boże jest tak niewyczerpane, jak są niedościgłe głębokie czułości Boga”¹¹. Trzeba tylko po ów Dar sięgnąć.

Uwikłany, zniechęcony daremnością swoich zmagañ człowiek, sam nigdy wyzwolić się nie zdoła. Koniecznie potrzebuje Wyzwoliciele. A to oznacza, że musi się do Niego zwrócić. Szczęście chrześcijańskiej rodzinie udostępnia modlitwa i życie sakramentalne, które zakłada trwanie w przyjaźni z Bogiem czyli przestrzeganie Jego wymagań. Na tym polega tajemnica rodzinnego sukcesu: „Trwajcie we Mnie, a Ja w was, ponieważ beze Mnie nic nie możecie uczynić” (J 15,4-5).

Stale psujemy: wszyscy i wszystko. Ciągłe nam potrzeba nawrócenia. Póki żyjemy – nigdy nie jest na nie za późno. Miłosierny Ojciec czeka. W każdej chwili jest zdolny rozplątać najbardziej pogmatwane życie. Robotnicy ostatniej godziny także otrzymali po denarze.

⁹ FC 13.

¹⁰ LR 22.

¹¹ PAWEŁ VI, Przemówienie z 4 maja 1970 r.

Czym jesteś rodzino? „Radością i nadzieją”, czasem także „cierpieniem i bólem”, ale zawsze pozostajesz niezrównaną szansą. Tobie powierzone jest zadanie walki o to, ażeby „wyzwolić siły dobra, których źródło znajduje się w Chrystusie Odkupicielu człowieka, aby te siły uczynić własnością wszystkich rodzin”¹². Masz więc przykładem i słowem głosić Ewangelię wiecznego zbawienia, która jest „ewangelią rodzin”. Powierzona ci Dobra Nowina to przecież Chrystus – „wczoraj i dziś, ten sam także na wieki” (Hbr 13, 8). To ty, rodzino, jesteś heroldem nowej ewangelizacji zapoczątkowującej Trzecie Tysiąclecie.

Łódź, w grudniu 1994

Barbara Kłys

¹² LR 23.